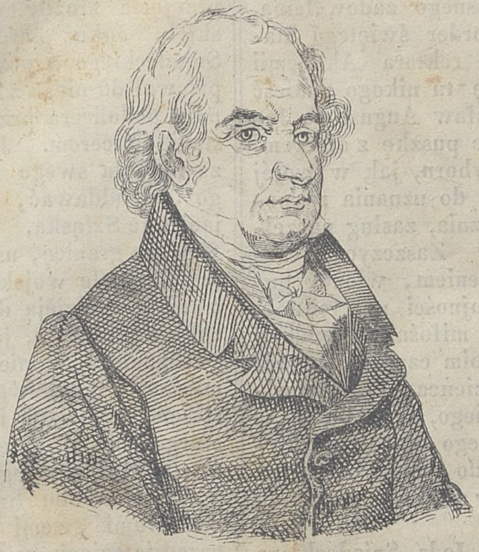
Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 1.** Leszno, *dnia 4. Lipca* 1840.



Jędrzéj Sniadecki.

Życie Jędrzeja Sniadeckiego
przez
Michała Balińskiego.
(Z rękopismu przygotowanego do druku.)

Lecz nie sądźmy różnicy, ani zalet wielu,
Sądźmy tych, których uniósł geniusz do celu.
Tych karty, jak tych tomy, gdy powiew rozniesie,
Nietknięty będzie Homer stał przy Sokratesie.
Bo jak Bóg równie w słońcu i w pyłku cudowny,
Tak i geniusz w mniejszém większemu jest równy.
Sniadeckich równa czeka w potomności chwała,
Ten głosi cuda świata, ten drobnego ciała.
Brodziński do Aleksand. hr. Chodkiewicza.

Życie takiego męża jak Jędrzéj Sniadecki, nie do naszego tylko kraju należy; zajmuje ono cały świat naukowy, bo geniusz jego działał w tym świecie potężnie i pamiętne ślady swojéj działalności zostawił. Kto tak szczęśliwie jak Sniadecki, zgłębiając tajemnice przyrodzenia ludzkiego, jasność gienialnego pojęcia i wzorowego wykładu połączył w głębokich swych badaniach, z pięknemi odkryciami w fizyologii: tego życie i pamięć, prace i korzyść z nich, chlubę ziemi naszéj przynosząc, stały się jednak własnością powszechnéj dziedziny nauk i uczonych. Życie więc jego, jakkolwiek w krótkim obrazie tu skreślone, podwojny interes, chociażby tylko przez treść swoję, dla ciekawych umysłów mieć powinno.

W dawnéj Wielkiéj Polsce, dziś w. księstwem poznańskiém nazwanéj, żył we wśi swojéj własnéj, pod miastem Zninem, w powiecie kcyńskim, niebogaty ale rządny i cnotliwy obywatel Sniadecki. Czwartym jego i najmłodszym synem był Jędrzéj, urodzony w téjże saméj wśi dnia 30. Listopada 1768. roku. Odbywszy początkowe nauki w szkole małego miasteczka Trzemeszna, posłany został po śmierci ojca dla dalszego w nich doskonalenia się pod opiekę starszego brata, sławnéj pamięci Jana Sniadeckiego, do Krakowa. Tam, gdy wszedł do gimnazyum, rozwinął się w nim niebawnie ów zaród nadzwyczajnych zdolności, których dlań przyrodzenie nieszczędziło, i które go potém wprowadziły na drogę sławy i pomyślności. Przechodząc cały szereg nauk szkólnych w sześciu klassach, celował nad wszystkimi współuczniami bystrością pojęcia i wielkim zapałem do pracy. Powszechném zdaniem nauczycieli i głosem towarzyszów swych szkólnych, uznany za pierwszego ucznia w gimnazyum krakowskiém; stanął w roku 1787. na czele całéj młodzi szkólnéj, w obec przybywającego na publiczne popisy Stanisława Augusta, i w imieniu jéj po-

witał go stósowną do okoliczności mową. Król poruszony widokiem wdzięcznéj postaci młodzieńca, z którego żywych oczu błyskał rozum i nadzwyczajna przenikliwość, nietylko sam mu oddał, jako najcelniejszemu uczniowi, słusznie należącą nagrodę, złoty medal z napisem: *Diligentiae* (1); ale nadto, chcąc wartość nagrody jeszcze wyżéj podnieść w oczach publiczności, dla przykładu młodzi i własnego zadowolenia, podał młodemu Jędrzejowi order świętego Stanisława, przeznaczony dla rektora Akademii Oraczewskiego. „Nie mogę tu nikogo znaleść godniejszego,“ rzekł Stanisław August do Jędrzeja Sniadeckiego, podając puszkę z orderem, „ani właściwszego zrobić wyboru, jak w twojéj osobie, zacny młodzieńcze, do uznania za pośrednictwem zasłużonego ucznia, zasług naczelnika edukacyi publicznéj.“ Zaszczycony Jędrzéj tak chlubném odznaczeniem, włożył publicznie znaki nowéj dostojności na rektora. Zdaje się, jakby monarcha, miłośnik i opiekun nauk, trafnym i pięknym swoim czynem, odgadł znamienitą przyszłość młodzieńca, i w przewidzianéj sławie filozofa polskiego, szukał jeszcze jednego wspomnienia chlubnego dla siebie, jeszcze jednéj gałązki lauru, do pozyskanego już wieńca, za gorliwe prace w oświecaniu narodu swojego (2).

Te pierwsze powodzenia Jędr. Sniadeckiego w młodocianym wieku, zadziwiające wszystkich i głosem opinii publicznéj stwierdzone, wcześnie zwiastowały dla kraju geniusz, którego tylko zawód nie był jeszcze odgadniony. Zrazu pociągniony przykładem starszego brata, i zniewolony zachęceniem, a nawet usilnemi namowami wielu osób przy zaczęciu nauk w Akademii krakowskiéj, oddał się matematyce, dla któréj w tejże saméj kolebce umiejętności polskich brat jego starszy część wieku swego już był poświęcił. Jakoż pierwiastkowym jego zawodem miało być usposobienie się na inżyniera i wejście do służby cudzoziemskiéj, do czego najgłówniejszym powodem było następujące zdarzenie. Pewien znakomity i uczony inżynier pruski przybywszy z twierdzy szląskiéj Brzega do Krakowa, znajdował się na eksaminie publicznym szkoły wydziałowéj. Jędrzéj Sniadecki, uczeń wówczas piątéj klassy w téjże szkole, tyle dał dowodów nadzwyczajnych swoich zdolności we wszystkich odpowiedziach, a szczególniéj tak się popisał z geometryi, że ów inżynier zachwycony niepospolitą nauką młodego studenta, natychmiast się z nim zapoznał, i całéj usilności dołożył, aby go nakłonić do przyjęcia służby w korpusie inżynierów pruskich. Jakoż bardzo już był sobie zniewolił Sniadeckiego, i powróciwszy potém do Szląska, pisywał do niego z Brzega, zaręczając, że w stopniu podoficera przyjęty, w sześć miesięcy zostanie oficerem. Jan Sniadecki upodobał ten zawód dla swego małego brata, ale niechciał go tam oddawać, gdzie go wzywał ów przyjaciel ze Szląska. Owszem pojechawszy w roku 1787. za granicę, usiłował wyjednać dlań miejsce w szkole wojskowéj francuzkiéj. Lecz gdy z pewną nadzieją dopięcia zamiaru swego wracał do Krakowa, jakież było jego zadziwienie, gdy znalazł w mieszkaniu swém skelet anatomiczny, a brata swego rozmyślającego nad wszystkiemi częściami i składem budowy ludzkiéj. Margrabina to Wielopolska i professor uniwersytetu krakowskiego, Jaśkiewicz, najżyczliwsi przyjaciele obu Sniadeckich, przekładaniem i namowami swemi przyczynili się do zmiany przedsięwzięcia w młodym Jędrzeju, a lekcya anatomii, wybornie wówczas wykładana w uniwersytecie przez Szastera, zupełnie skłoniła go na stronę medycyny, która jednak wywdzięczyła mu się potém ze wszystkich względów, za pierwszeństwo jéj dane. Jednakże do wyboru kursów w uniwersytecie przez Jędrzeja Sniadeckiego, przyłożyła się nie mało i sama nieobecność braterska. W liście bowiem jednym, pisanym do Jana, bawiącego wówczas w Londynie (3), może dla usposobienia go do łatwiejszego przyjęcia zmiany zawodu swojego, tak się wyraża. „Lekcye moje teraz właśnie rozpocząłem. Rozumiem, że mi WMPan Dobr. tego niezganisz, żem sobie wziął za przedmiot, doskonalenie się w fizyce. Spodziewam się, że nie będzie w mojéj możności, stać się tutaj mocnym w téj nauce, ale przynajmniéj odemnie będzie zawisło, jak najlepiéj się do niéj przysposobić. W tym celu obrałem sobie lekcye te tylko, które mi na ten koniec służyć mogą. Ponieważ zaś to wiem z ust brata doskonale, i z własnego przeświadczenia tyle, ile zdolny jestem wiedzieć, że matematyka najpierwszą jest nauką, na któréj cała fizyka polega; postanowiłem naprzód ile możności w niéj się ugruntować. Nieszczęście moje, że nie jestem tak przysposobiony, ażebym mógł słuchać zaraz matematyki wyższéj, a czas, którego wyciąga usposobienie się z lekcyi matematyki niższéj, jest nadto długi. Ja postanowiłem skrócić go przez

(1) List ks. Garyckiego, professora Akademii krakowskiéj, z Warszawy d. 15. Lipca 1787. datowany do Jana Sniadeckiego do Londynu.

(2) Radwański, professor mechaniki w uniwersytecie krakows., tak opisuje ten wypadek w liście d. 30. Czerwca 1787. z Krakowa pisanym do Londynu do Jana Sniadeckiego: „*Je vais vous faire part d'une nouvelle qui vous faira plaisir. Mr. Votre frére a reçu la medaille d'or des mains du Roi, qui pour lui faire plus de distinction, lui a donné une cassette avec le cordon rouge pour le Recteur, en lui disant, qu' il ne pouvait trouver personne plus digne, de remettre la decoration au Recteur, que lui. Le fils du Palatin de Siaeradie Małachowski, a reçu la medaille d'argent*“ etc. Naruszewicz w Dyaryuszu podróży królewskiéj, wspomina także o tym zaszczycie, jaki spotkał Jędrzeja Sniadeckiego.

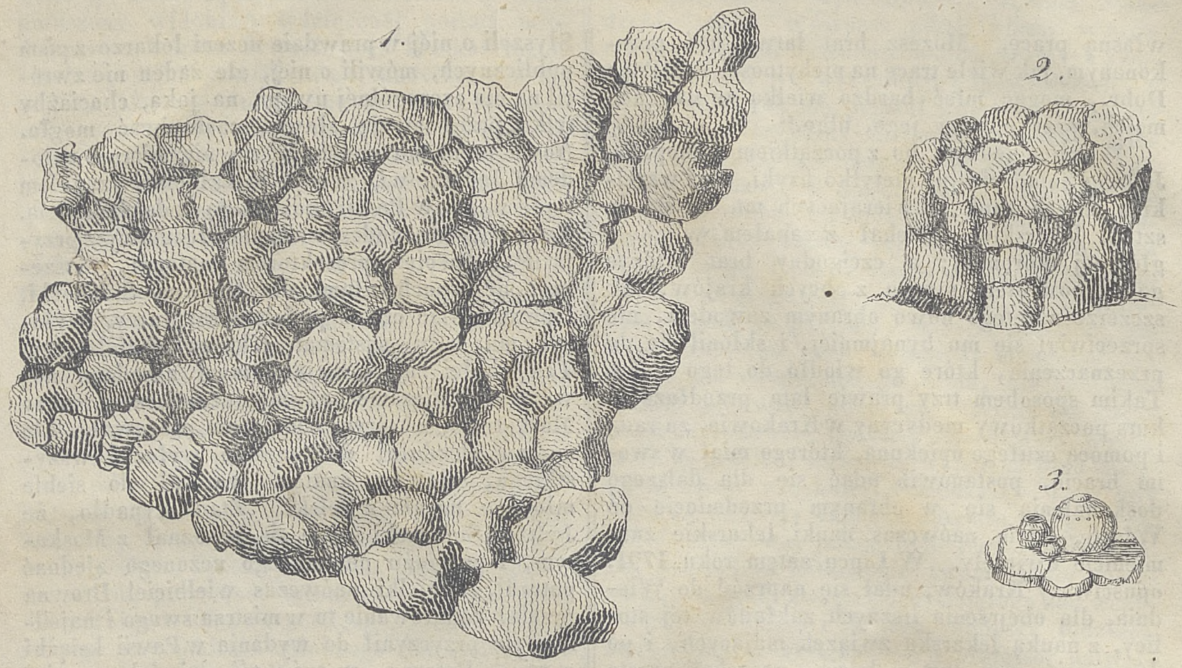
(3) Z Krakowa d. 10. Października 1787. datowany.

własną pracę. Możesz brat łatwo być przekonanym, jak wiele tracę na niebytności WMPana Dobr., mogąc mieć bardzo wielką w naukach moich, przy pomocy jego, ulgę.“

Wkrótce jednak, bo z początkiem Listopada, Jędrzéj Sniadecki już nietylko fizyki, ale i wszelkich innych nauk, otwierających mu wrota do sztuki lekarskiéj, słuchał z zapałem w szkole głównéj koronnéj; a czcigodny brat widząc go za powrotem swoim z obcych krajów, tak szczerze zajętego nowo obranym zawodem, nie sprzeciwiał się mu bynajmniéj, i skłonił się do przeznaczenia, które go wiodło do tego stanu. Takim sposobem trzy prawie lata przedłużając kurs początkowy medycyny w Krakowie, za radą i pomocą czułego opiekuna, którego miał w swoim bracie, postanowił udać się dla dalszego doskonalenia się w obranym przedmiocie do Włoch, gdzie naówczas nauki lekarskie znamienicie kwitnęły. W Lipcu zatem roku 1791. opuściwszy Kraków, udał się naprzód do Wiednia, dla obejrzenia licznych zakładów téj stolicy, z nauką lekarską związek mających, i po dwumiesięcznym tam pobycie, pojechał prosto do Pawii. Uniwersytet tamtejszy słynął na całe Włochy doborem najpierwszych nauczycieli w fizyce i medycynie, sławę europejską posiadających. Nie było właściwszéj szkoły naówczas na stałym lądzie dla młodzieńca wielkich zdolności, do ćwiczenia się w naukach lekarskich. Galwani, Wolta, Spalanzani, Moscati, nakoniec Jan Piotr Frank, imiona nazawsze pamiętne w dziejach oświecenia ośmnastego wieku, przez nowe odkrycia i wykład ujmujący słuchaczów w uniwersytecie pawijskim, rozszerzali sferę umiejętności fizycznych i lekarskich. Oni to za przybyciem Jędrzeja Sniadeckiego do tego starożytnego przybytku światła, stali się jego mistrzami, jego przyjaciółmi i czułymi przewodnikami. Pod niemi znowu, blisko dwóletni czas najpiękniejszéj swojéj młodości, poświęcał zgłębianiu swéj sztuki z zapałem, pracą i pilnością trudnemi do opisania. Głośne wówczas i cały świat uczony zadziwiające doświadczenia Galwaniego i Wolty w Pawii, właśnie przez nich samych wykonywane, zajęły niezmiernie badawczy umysł Sniadeckiego. Sam się im oddawał z zamiłowaniem, i wspierany przewodnictwem obecnych a przychylnych sobie mistrzów, usiłował głębiéj przeniknąć zaledwo ukazane tajemnice przyrodzenia (4). Z drugiéj strony również w medycynie jak w fizyce i fizyologii, wszystkie nowe pomysły, wszystkie głębsze rozumowania, uderzały młody ten umysł, chciwy nauk i wiadomości, a niespracowany w dociekaniu prawdy. Teorya Browna, tak głośna w dziejach sztuki lekarskiéj, wchodząc już na stały ląd, niedostała się jeszcze była w ówczas do Włoch. Słyszeli o niéj w prawdzie uczeni lekarze z pism publicznych, mówili o niéj, ale żaden nie zwrócił na nią szczególnéj uwagi, na jaką, chociażby tylko przez swoję sławę, zasługiwać mogła. Nowa ta nauka podobała się niezmiernie młodemu Jędrzejowi, zaczął ją zgłębiać z zapałem i pierwszy w Pawii poznał ją z dokładnością. Razu jednego, podczas uczonéj rozmowy z przyjacielem swoim, prosektorem anatomii, rozszerzył się z pochwałami dla Browna Sniadecki, i powtarzając często podobne rozprawy, wyłożył mu cały systemat lekarza angielskiego. Ten z kolei zajęty mając umysł zasadami nowéj teoryi, niezaniechał opowiedzieć całéj rzeczy Moskatemu, z którym codziennie pracował. Ale że mu niezdołał dostatecznie wyłożyć wszystkiego, sławny anatom wezwał do siebie młodego ucznia z Polski. Ztąd wypadło, że Jędrzéj Sniadecki ściśle się zapoznał z Moskatym, i przyjaźń nawet tego uczonego zjednać potrafił. Wielki naówczas wielbiciel Browna przelał zamiłowanie to w mistrza swego i najsilniéj się przyczynił do wydania w Pawii książki o nauce Browna, w czém téż największy miał udział. W Medyolanie to Jędrzéj Sniadecki, gdzie całe wakacye roku 1762. przepędzał, pierwszy raz natrafił na wykład teoryi Browna w dziełach medycznych angielskich. Ztamtąd dopiero powrócił do Pawii, napojony nowemi zasadami szkockiego reformatora medycyny. Młody jego umysł, chciwy wiadomości, żywo zajmując się nowemi ideami, widział w ówczas w téj głośnéj teoryi zupełną zmianę całéj swojéj nauki, a w jéj autorze gieniusz godny samego Newtona. Tymczasem nieznajomość jéj prawie zupełna w téj epoce we Włoszech, pomimo, że już od 18 lat w Edinburgu publicznie wykładaną być zaczęła, opór starych lekarzy w Niemczech, martwiły niezmiernie polskiego prozelitę. Jednakże za powrotem do Pawii przełamały się trudności; młody Frank, syn starszy sławnego Jana Piotra Franka (5), a współuczeń i przyjaciel Sniadeckiego, wbrew zasadom oycowskim, przyłączył się do jego zdania; za nim poszli inni uczniowie celniejsi; Moscati, jakieśmy już wzmienili, został dla Browna zjednany, i wkrótce rozprawa o nowéj teoryi po włosku ogłoszona. Wszystko to było owocem prac i rozmyślań Sniadeckiego w Medyolanie. Prócz tego poznanie zakładów lekarskich w téj stolicy Lombardyi, i praktyka w wielkim tamtejszym szpitalu, zajmowały go pracowicie obok towarzystw i rozrywek pod pięknem niebem Italii. Jesień, a z nią rozpoczynające się na nowo kursa akademickie, wezwały go na powrót do Pawii, ostatnich dni Października. Drugi ten rok naukowy był pasmem niezmordowanych prac i usiłowań do wy-

(4) Ob. Dodatek pod Lit. A.

(5) Franciszek Frank, starszy brat uczonego Józefa Franka, professora uniwersytetu i założyciela kliniki w Wilnie.



Groby odkryte w Kotowie.

doskonalenia się w obranym zawodzie, oraz przygotowania się do eksaminu na doktora. Wprawdzie znamienicie ułatwione było ćwiczenie się w umiejętnościach fizycznych i lekarskich pod tak wielkimi mistrzami, jakimi byli ci wszyscy uczeni, których wspomnieliśmy wyżéj: ale zdolności Sniadeckiego wyższe były nad obręb wiadomości w zwykłych akademickich kursach udzielanych uczniowi. Geniusz młodzieńca żywo się objawiał w téj nienasyconéj chęci dowiedzenia się o wszystkiém, zgłębienia wszystkiego, i przeniknienia prawd niezupełnie jeszcze zbadanych. Przychylność zatem sławnych jego nauczycieli otworzyła mu wrota do tych tajemnic naukowych, których sami byli tylko posiadaczami. Wszyscy dali mu najpoufalszy przystęp do siebie, wszyscy udzielali mu pomocy w wątpliwościach, i najzawilsze wykładali teorye, tłumaczyli nowo odkryte fenomena. Jeden tylko Wolta, skąpy dla wszystkich w udzielaniu wiadomości o wypadkach swoich doświadczeń, nie był hojniejszy i dla młodego Polaka. Wszakże wszyscy ci wielcy nauczyciele, stali się razem ścisłymi przyjaciółmi Jędrzeja Sniadeckiego, wprawdzie wiekiem od nich bardzo oddalonego, lecz geniuszem i zamiłowaniem nauk mocno zbliżonego. Między nimi znamienity z nauk i powagi w świecie uczonym Jan Piotr Frank, najwięcéj po Moskatym dawał w każdym razie dowodów czułéj opieki i życzliwości dla Jędrzeja, wielbiąc w nim nadzwyczajne zdolności, zamiłowanie pracy i rzadkie przymioty serca (6).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Urny znalezione w Kotowie pod Grodziskiem.

Powszechnie zabytki starożytności starannie są poszukiwane i wysoko cenione; tém bardziéj zaś obchodzić nas powinny te, które sięgając czasów przedpiśmiennych, jedyném prawie stają się historyi źródłem. Nieme wprawdzie są to pomniki, ale często milcząc, jakże wyraźnie przemawiają i nauczają! Nie masz kraju na całéj przestrzeni ziemi, gdzieby na takich pomnikach zbywało, począwszy od chałup w Grenlandyi, pod śniegiem odgrzebywanych po wygasłych ludach, aż do dziwotwornych zabytków budownictwa w Ellorze i Elefante. Po Niemczech i sławiańskiéj ziemi wykopują się często posążki, naczynia gliniane, różne sprzęty kruszcowe i oręże; w nadwołgańskich okolicach wydobywają ryte z kamienia osóbki, siedzące z rękami na kolanach wspartemi; na polskiéj ziemi najdawniejszém świadectwem dziejów są mogiły pod Krakowem, Nowogródkiem i liczne

(6) Kładziemy w dodatku pod litt. B. własnoręczny list Franka do Jana Sniadeckiego, jako dowód, jak umiał cenić Jędrzeja.



U r n y.

groby mianowicie w Wielkopolsce często napotykane. Nie raz wnich wśród popiołów znajdują się drobne wprawdzie przedmioty, lecz zdolne naprowadzić na wielorakie domysły o sztuce i zwyczajach dawnych mieszkańców naszéj ziemi (1). Z tém wszystkiém, jak rzadko wyczytujemy doniesienia o podobnych odkryciach wpismach poświęconych zachowaniu pamiątek. Raz tylko mieliśmy wiadomość w Przyjacielu ludu o urnach wykopanych w Lubaszu (2), a dwa opisy o takichże odkryciach zawierały się w Mrówce poznańskiéj na r. 1821. Często wszakże słyszymy z opowiadania o tak zwanych pogańskich żalach, których odkopywać nikomu na myśl nie przyjdzie; o garnkach gdzieś wygrzebanych i potłuczonych, które chciwość nie raz z gniewem ciska o ziemię, znajdując kości i popioły, zamiast oczekiwanych skarbów złota i srebra, lub też obojętna ręka niszczy, jako skorupy, bez żadnéj wartości. Gdy to piszę, dowiaduję się od naocznego świadka, że przed kilkunastu laty w majętności Gurze, pod Śremem, przy zakładaniu ogrodu angielskiego, nad Wartą na piaszczystém wzgórzu, wydobyto kilkadziesiąt urn, i przy nich znaczną ilość narzędzi metalowych dziwnego kształtu, oraz znaleziono posążek kamienny w kształcie trupiéj główki. Wszystkie te drogie zabytki dostawszy się w nieczułe ręce, roztrwonione lub poniszczone, zmarniały. Ileż to razy podobny los spotkał inne ważne odkrycia!

Niedawno znalezione starożytności w majętności Kotowie, pod Grodziskiem, acz nie są znakomite, jednak wiadomość o nich miłośnikom dawnych zabytków obojętną zapewne nie będzie. W oddaleniu nie wielkiém od wsi, na otwartém polu, w miejscu nad stawem położoném, corocznie przy oraniu natrafiano na liczne kamienie, lecz nie przychodziło nikomu na myśl co innego ztąd wnosić, jak że grunt jest kamienisty. Dopiero w przeszłym miesiącu oracz jeden odwaliwszy kilka kamieni, zaraz pod powierzchnią ziemi leżących, postrzegł garnek gliniany, a w nadziei dostania bogatéj zdobyczy, skruszył go i znalazł wewnątrz kości i popioły zmarłych. Dowiedziawszy się o tém zarządzca dóbr, w różnych miejscach zaczął wydobywać kamienie, odkrywając pod niemi podobneż popielnice, lecz żadnéj nie mógł dostać w całości, pomimo, iż przeszło dwadzieścia grobów otworzył. Lecz przy większéj ostrożności udało się nareszcie dobyć kilkanaście całych naczyń glinianych, rozmaitéj wielkości, urnami, popielnicami lub łzawicami zwanych. Załączone tu wizerunki dają wyobrażenie o budowie grobów, kształcie urn, i o przedmiotach w nich znalezionych.

W miejscu grobu, którego śladu na powierzchni ziemi nieznać zupełnie i tylko przez doświadczanie rydlem dojść go można, odkrywszy

1) Źródła historyi, zawarte w *pomnikach niemych* (fontes, monumenta arte facta), zupełnie są pomijane od naszych dziejopisów. Życzyćby należało, aby kto mający sposobność, wszystkie znajome tego rodzaju źródła zebrał i ogłosił. Są one równie ważne i ciekawe, jak podania, tradycye w pieśniach lub gawędach starych przechowujące się, któremi dziś się zajmują uczeni zbieracze; a pod niejednym względem daleko wyżéj cenić się powinny od tradycyi.

(2) Zob. P. L. r. II. T. 2. No. 40.

ziemię na stopę lub pół głęboko, pokazują się kamienie usłane równo (fig. I.), zajmujące przestrzeń na pięć łokci długą, i tyleż prawie szeroką. Odbierając od brzegów na około kamienie i zbliżając się coraz ku środkowi, natrafia się na sam grobowiec (fig. 2.). Jest on zwykle obcembrowany płaskiemi dobranemi kamieniami, na łokieć lub dwa wysoki, przykryty szerokim płaskim granitem, na którym jeszcze spoczywa warstwa kamieni w równi z temi, które do koła nasypane były. Po odkryciu wierzchu grobowca i odjęciu bocznych ścian, zostaje bryła ziemi ukrywająca urny, które na dnie stoją na pokładzie kamieni (fig. 3.). Jedna tylko największa urna, lub dwie, napełnione są kośćmi, inne zaś mniejsze naczynia nic prócz ziemi nie zawierają, i może do zbierania łez służyły. Kształt tych naczyń i wielkość w różnych grobach są tak rozmaite, iż z pomiędzy wszystkich nie było dwóch jednostajnych; rysunek wystawia je w téj liczbie i w takim porządku, jak w grobach stały na dwie, trzy, lub pięć razem; w jednym zaś grobie znajdowało się ośm, z tych jedna większa, inne bardzo drobne, tak, że najmniejsza w obiętości swéj nie przechodziła jednego cala sześciennego. Glina ich jest czarna lub czerwona, z drobnym zwirem zmięszana, co jeszcze słabszą ją czyni, tak, że urny po odkryciu za lekkiém potrąceniem kruszą się: lecz wyniesione na działanie powietrza i promieni słońca, twardnieją; mianowicie czerwona glina po wyschnięciu zupełnem jest dosyć mocną i dzwoniący brzęk wydaje, z czego widać, iż musiała być paloną. Za osobliwość poczytać to należy, że w jednym grobie były trzy urny, jedna w drugą włożone, i w ostatniéj wewnętrznéj popioły. Dowodzi to, z jaką troskliwością usiłowano szczątki zmarłych w długie czasy zachować.

(Dokończenie nastąpi.)

Marcin Kaptur.

Szkic historyczny z XVI. wieku przez J. J. Kraszewskiego.

Byłto wieczór, słońce spuszczało się już na zachód czerwone, gorejące a chłodne; do koła jego, rumiane, wiatr zapowiadające chmurki, wznośiły się po niebie. Na drugiéj stronie widnokręgu stał czarny obłok nieporuszony, milczący, lecz groźny. Okolica była piasczysta i zaroślami pokryta. W oddaleniu na prawo świecił się biały zamek Srzemskiego, wojewody płockiego, i unosiły się niebieskie dymy wśi, pod jego murami rozłożonéj. Daléj widzi się inne wioski i wieże wiejskich kościołków, i krzaki pożółkłe i poschłe od letniego skwaru. Na drodze piasczystéj unosiły się tumany pyłu śiwego, tętniała ziemia od kopyt koni. Liczny orszak jezdnych i wozów szedł od Płocka. Widać było długi szereg komorników i pacholąt barwianych, kolasę piękną, skórą złoconą wybitą, zaprzężoną sześcią końmi karemi; ciągnące się wozy z kuchnią, służbą, drążnymi i podlejszą czeladzią. Cichość panowała wśród orszaku i konie szły powoli. W kolasie iechał mężczyzna podeszłego już wieku, na którego czole malowały się duma i odwaga. Ubrany był ciemno, czapka wysoka siedziała mu z kitą nad czołem, śiwy wąs opadł na dół, i kończył się aż na piersiach. Na nim była lekka ferezya spięta, z złocistemi guzy i sznurami. Przy jego kolasie jechało kilku młodzieży, za nią wiedziono konia jezdnego pod pięknym dywdykiem z bogatém siedzeniem, złoconym rzędem, trzęsidłami z piór u łba, malowaną grzywą i ogonem. Pacholęta pańscy chichotali z tyłu, a za niemi wiedli pisarze kilka sfór ogarów i dwie smycze chartów, Białozornicy jechali z ptakami, w kapturach i dzwonkach u spętanych nóg. Wspaniały był widok tego pocztu, choć to tylko był dwór wojewody płockiego, pana Srzemskiego, mało znaczącego człowieka, lecz lubiącego żyć dobrze, niedbającego wiele o dłużników, których czasem kijem téż za wrota wypędzano ze dworu, zwłaszcza Żydów niewiernych!

Kolasa wojewody sunęła się powoli po piasku, gdy pan Srzemski usłyszał po za sobą tentent, i obejrzawszy się ujrzał goniącego jakiegoś człowieka na chudéj marsze, osiodłanéj prostym łękiem, z uzdą skórzaną na pysku. Był to męszczyzna olbrzymiego wzrostu, silnéj budowy, twarzy czerwonéj i wesołego wyrazu, po któréj widać było blizny od gęstych szram. Ubrany był w prostą opończę z kapturem, czapkę baranią, kontuśik wytarty, a rzemiennym pasem pociągniony, buty juchtowe czarne. Na wierzchniéj wardze tępo ucięty wąs łączył się z zarastającą brodą i podbródkiem, wśród których czerwieniały usta szerokie; wyżéj świeciły mu się strasznie oczy czarne w pąsowéj oprawie. Cała twarz zdawała się mówić: Jestem zawadjaka! Trzymał się na koniu krzywo i niedbale, ale koń bał się go, bo się strasznie wyciągał pod nim; potém zlany bokami robiąc, z nozdrzem rozdartem, wysadzoném na wierzch okiem i naprężonemi żyły.

Wojewoda obejrzał się na niepoczesnego jeźdźca, i wlepiwszy weń chmurne brwiami zawisłe oczy, zdawał się chcieć go rozpoznać, tego jednak dokazać nie mógł, bo choć mu się coś ochapiało, nie przypominał sobie nazwiska zawadjaki.

Przejeżdżający mało zważał na poczet pana wojewody, i przeciw zwyczajowi wymijać go zaczął, ani się nawet skłoniwszy, usiłując wolno wlokącą się wyprzedzić czeredę. Byłoto wielkie zuchwalstwo; służba i komornicy wojewodzińscy szemrać zaczynali, gdy wojewoda sam ciągle nie spuszczając z oka jeźdźca, właśnie

gdy ten kolasę jego kłusem tęgim wymijał, ozwał się dość głośno:

„A toż co za chłop?“

Dosłyszał tego jeździec, obejrzał się, zaczerwienił, ściągnął koniowi lice i chciał coś odpowiedzieć, ale potém jakby się rozmyślił, odwrócił się tylko i zawołał, spinając konia żelaznemi ostrogami:

„„Powiedz to jutro, Mościwy panie, ale ci to bez zakrztuszenia przez gardło nie przejdzie.““

Nie słyszał tego wojewoda, a jeździec poleciał szybko naprzód, cały zapłomieniony i trzęsący się od gniewu, kiedy niekiedy przemawiając sam do siebie pół słowami.

Gdy już poczet wojewody został dobrze w tyle za nim i zniknął w tumanach pyłu, jeździec zwolnił biegu koniowi, pokręcił wąsa, i oglądając się, a poprawując na siodle, rzekł:

„„Powtórzysz mi to jutro, panie wojewodo! powtórzysz; a powiem ci, com ja za chłop! Muszę no tylko wymacać, czy jutro niebędziesz z nim w drodze. Coś mi się marzy, że ty tylko panujesz w swoim zamku! Zaśpiewam ja ci na drodze piosenkę!!““

To mówiąc pan Marcin Brzozowski, tak się zwał ów jeździec, stanął u karczemki należącéj do zamku pana Srzemskiego i uwiązawszy dyszącego konia u słupa, poszedł do Żyda.

Żyd znał dobrze zawadjakę gostyńskiego, bo głośnym był junakiem pan Marcin Brzozowski. Przyjaciele zwali go pospolicie przezwiskiem Kaptura, że opończę od słoty z Kapturem nosił, a gdzie Kaptur jego zawitał, już tam się bez szumu nie obeszło. Zatém Żyd nisko mu się skłonił jarmułką i stał milczący.

„Twój pan, wojewoda, dziś powróci do zamku?“ spytał go pan Marcin.

„„Tak, jaśnie panie,““ odpowiedział Żyd.

„A czy długo w domu zabawi?“

„„Komornik jego co tu był, przyjechał z Bilska i mówił, że jasny pan wojewoda tylko przenocuje, i pojedzie za pilném do Warszawy.““

„Pewnie?“

„„Już nawet wozy wyprawili naprzód.““

To tylko chciał wiedzieć pan Marcin, siadł na koń i pojechał, a serce mu biło, a oczy pałały, a ręce się trzęsły.

Przejechawszy wioskę, rzucił się kręto w lewo między płoty i biegł co tchu dróżyną, do dworku bielejącego pod lasem, koło którego dymiły się dwa czy trzy kominy chałup chłopskich. Zajechał w dziedziniec, na którym pasło się stado świń, chodziły konie, owce i wszystek dobytek, tylko co z pola przygnany. Pan Marcin przywiązał swoję szkapę do kółka u wrót, i sam pobiegł do domu.

„Jest pan doma?“ spytał chłopaka, który w sieni czyścił rząd na konia, niegdyś złocisty, a teraz tylko mosiężny.

„„Jest panie?““ odpowiedział chłopak, wstając.

Otworzył pan Marcin skrzypiące niskie drzwiczki i zawołał:

„Niech będzie pochwalony! pokój temu domowi!“

„„A! Kaptur!““ ozwał się otyły gospodarz, powstając i zachylając kapotę, pod którą tylko płócienne widać było ubranie.

Izba, do któréj wszedł pan Marcin, była czysta, wybielona, dwa małe oświecały ją okienka, miała piec prosty i kominek, ławy do koła, z których jedna przykryta była kilimkiem, na ścianie krucyfix, zielem święconém otoczony, u drzwi kropielnica, stół dębowy w pośrodku, stara zbroja, koszulka dróciana i misiurka wisiały na ścianie.

„„Hej pani Barbaro!““ krzyknął gospodarz, „„światła niech podadzą i miodu! Niechże cię uściskam panie Marcinie!““

Pani Barbara pobiegła do alkierza, ledwie rzuciwszy okiem na gościa, a pan Marcin ścisnąwszy gospodarza za rękę, odpowiedział:

„Nie po tom ja tu Mości panie przybył, abym z WM. panem bratem pił i hulał. Jeszcze mi się policzki czerwienią, gdy sobie wspomnę moją krzywdę! Tu mi Waszmościnéj pomocy potrzeba! Waszmość jesteś brat szlachcic jak ja, i co mnie dziś, jutro tobie, jeśli sobie damy po nosie jeździć.“

„„A cóż to Waszmości się stało?““ spytał gospodarz, stojąc przed nim pełen zdumienia i już prawie gniewny, a przynajmniéj usposobiony do gniewu.

„Co i co! ten senatorczyk, pan wojewoda Srzemski, tylko co spotkał się ze mną na drodze. Wiesz Waszmość, że ja się nie rad stroję i nie wyglądam na gaszka, ale się za to na mnie nikt nie zawiedzie, ale za to cudzego i swego chleba nie przemarnuję na puste bawidełka. A dobrze mi w mojéj opończy, jak drugiemu nie lepiéj w pożyczaném złocie! I dla tego, że mnie wojewoda widział licho ubranym, śmiał mnie Brzozowskiemu, herbu Belina, z dziadów i pradziadów szlachcica, nazwać chłopem.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Cokolwiek o ubiorach w Polsce za Jana Kaźimierza.

Pan Jaszowski mówiąc w Rozmaitościach lwowskich o dawnych ubiorach w Polsce i przechodząc wszystkich królów panowania od najodleglejszych wieków w rysach ogólnych, nie

uczynił nam nawet wzmianki o ubiorach z czasów Władysława IV. i następcy Jana Kaźimierza. Mamy przecież ślady, iż Ludwika Marya z Gonzagów, księżna neverska, druga małżonka Władysława IV., i brata jego, Jana Kaźimierza, nie mało wpływu miała na zmianę starożytnych ubiorów, jakich dotąd Polacy używali. Liczny orszak Francuzów, też otaczający, wprowadził mody swojego kraju do Polski. Sam Władysław IV., jak go pan Guebrian w podróży swojéj opisuje, w czasie wjazdu małżonki Maryi na ślubną uroczystość do Warszawy, zasiadłszy już w kościele na krześle, miał suknią francuzką z materyi srebrnéj najnowszego kroju, na głowie kapelusz kastorowy, opasany sznurem ogromnym dyamentów, i na pół otoczony czaplemi piórami. Wyjeżdżając zaś na przyjęcie królowéj wielka liczba dam i młodzieży, zatrzymała się wśród drogi w domu na to przeznaczonym, aby się ufryzować. Ludwika zaś królowa, jak mówi Salwandy w panowaniu Jana Sobieskiego pod rokiem 1649., wprowadziwszy do Polski przepych, sama ze swojemi damami ubierała młodzież, na poskromienie buntów kozackich idącą, na sposób francuzki. Mazeppa, znany z awantur swoich hetman kozacki, który naówczas był paziem na dworze królewskim, tak został od nich wykwintnie przybrany, iż go w przepychu od dam rozróżnić nie było można. Gdy królowa przez wrodzony dar swój w zdaniach i chęciach względem następcy tronu polskiego cały nieomal senat opanować umiała, nie dziw, że i w ubiorach poszła młodzież za modą całego dworu. Gniewali się Polacy starzy na zmianę starożytnego zwyczaju, a najbardziéj Pasek i kaznodzieja ówczesny Liberyusz. Pierwszy bowiem mówi w swoim Pamiętniku (karta 215). „Takąto Francuzi w Polsce mieli powagę za Ludwiki, że im pozwolono, co tylko zamyśleli. Przyszedłszy na pałac do pokojów królewskich, rzadko obaczyć było czuprynę, tylko głowy jako pudło największe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to widzieli, sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie.“ Liberyusz zaś tak powstaje na wprowadzenie do kraju obcych ubiorów w kazaniu Wniebowzięcia N. Panny:

„Niepostrzegliśmy prawdziwie, jako do ojczyzny naszéj weszło tak wiele złego. Nie wiem, kto do nas otworzył wrota morowemu powietrzu, które tak wiele tysięcy ludzi po koronie zniosło, nie wiem, kto otworzył wrota jadowitemu Marsowi, i złośliwéj Bellonie, wojnie, już z domowemi, już z postronnemi. Niebyliśmy tak czujni i koło siebie ostrożni, żeby to było zawczasu we wrotach ojczyzny postawić patrona którego, abo N. Pannę, aby była odwrót czyniła tym klęskom i porażkom, morowemu powietrzu, wojnie i nieprzyjacielowi, aby była rzekła: precz złe przygody, precz niefortuny! A jeszcze nie koniec złemu, coś jeszcze gorszego obiecują nam astrologowie z onegdańszego słonecznego zaćmienia, obiecują ciężkie wojny, zamieszania, uciski ludu pospolitego, a bodaj nie ostatnią tego królestwa ruinę. Byłżeby jaki sposób, abyśmy mogli ubogą i utrapioną ojczyznę naszą ratować? te niefortuny od niéj wypędzić, te uciski, zamieszania, wojny, choroby odwrócić? oto podawa nam Kościół boży Błogosławioną Pannę, jako Podskarbinią, z któréj wypłynęło zbawienie i żywot nasz, na któréj zawisło wszystko szczęście i dobro nasze. Ta może ojczyznę naszą od tych ucisków uwolnić, ta może planety i złączenia ich, skutki zaćmienia w dobre obrócić, i te nieszczęścia nasze odwrócić.“

„Nie dziwuję ja się, że Pan Bóg tak wiele nagromadził na ojczyznę naszą plag i gniewu swojego; nie dziwuję, że pobudził domowego nieprzyjaciela, że pobudził Tatarzyna, że tak srogim powietrzem karał i karze jeszcze już na trzeci rok. Puśćcie jeno oczy na złości i grzechy rozmaitych stanów, pijaństwa i zbytki, jak z brzegów wylały? a kiedy w Polsce były takie białogłowskie stroje, jako są teraz? kędy one płaszcze poczciwe? kędy zawicia poważne? aza (czyż) panny chodziły kiedy z takiemi utrefionemi włosami, jako teraz na kształt koczkodanów jakich? aza takie kształty brzydko wykrojone miewały?“

„Patrzcie, jako naśi Polacy używają kontuszów swoich; już je miasto żupanów z rękawami wdziewają i przepasują, już w pół rękawów przeciąwszy, ręce kładą, a ostatkiem machają, już miasto ferezyi na bok noszą. Cóż tu widzieć? a białogłowy z swemi strojami o jako wymyślają? te swoje zawicia francuzkie raz na szyję zarzucają, drugie się niemi jak kominiarze kapturami zawijają.“

„A kiedy wasze matki i Polki używały takich, jakich teraz, strojów; patrzcie na ich nagrobki, obrazy potomnym wiekom na pamięć zostawione, jako przystojne były głów i twarzy zawicia, nie takie, jakie teraz, kominiarskie, jako poważny skromności chrześciańskiéj należyty ubiór. Nie widać tu Szwedek, *à la mode* rękawów wywijanych, nie widać kędziór, trefów, przeplotów swawolnych, czapek mężkich zakrzywionych; nie widać, aby chodziły z szyjami nieprzystojnie obnażonemi, wyciągnionemi. Nie masz na epitafiach mężkich i duchownych kudeł sprosnych, z któremi teraz chodzą jako najeżeni puchacze, że im twarzy niewidać.“

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)